1742

II

Autografy utworów Władysława Orkana.

1. „Z poezyi"
2. „Suplikacye" (wyjątek z „Pomoru")
3. „Świt" (nowela)

AP 73

Wr. Marzeca = Proza i wiersz Cicernem!

2

Suplikacye

(Wyjątek z „Pomoru").

Wr. Marzec: [illegible]

... W ślad za Łukaszem sunęła z dalekich stron śmierć i zarazę niosąca podmucha – a trupi wiew wyprzedzał ją i gdzie oddechem swym trującym zawiał, – bielały strachem i jak glina kruszyły się serca.

Ale nietylko ludzkie zwyży truł ten zawiew śmierci...

Gdzie jeno duchło złe powietrze: kwiatom opadały łebki, rośliny więdły strute abo skręcały się w bólu w kształt wąsów grochowianki, jabłonie i grusze w sadach strząsały w drgnieniach śmiertelnych owoc zarażony młodo, wierzbom i olchom przydrożnym wysypki chore jak chmara gąsienic obsiadały owarzone liście, a na drzewach iglastych, od tej strony, skąd powietrze szło, zjawiał się mech i porost szary, iż wyglądały jak wyrośnięte na wiatrach gdzie u szczytu gór, dziadkowate i wcześnie zgrzybiałe; i nawet trawy po polach, dość liche już,

popieliły się do reszty, jakby je mróz spalał.

Wszystko, co śmierci podlegle – zarówno drzewo, jak roślina, jak i stworzenie chodzące – więdło rażone strachem albo i zgoła co słabsze padało, gdy je uderzył w zawrzeniu zgniły dech zarazy.

Rzadkimi wprawdzie smyśćami, niby od burzy śmiercionośnej oderwane tchnienia, wrzynały się powietrzem te zakosy śmierci.

Jednak dreszcz trwożny przeszedł po wszystkiej ziemi naokół, gdy powietrze zepsute, jak od spalenizny, rozniosło wieści trujące.

Ludzie bali się pytać trwogi swej: co będzie? Jakie jeszcze groźby los dzierży w swej mściwej dłoni?

Trzeci raz ziemia nawróciła się około słońca, jak nieurodzaj rozpoczął te roki straszliwe. Trzy lata okrutnym ciężarem zwaliły się na lud. Głód przysiadł osłabione, jak stado wilków zajadłych. Choroby spadły na ludzi...

Już, widziało się, cięższych kar ziemia nie udźwignie. A oto z nieznanych stron stokroć groźniejsze się przybliża – sunie

wprost czarną, nielitośną ścianą...

Wszystko przycichło w trwodze. Ptaki nawet, które jeszcze ćwierkały gdzieniegdzie, dodając otuchy zrozpaczonemu już chłopu swojem upartem: „cierp! cierp!" — nawet i one pomilkły.

Martwość objęła całą ziemię. W pół lata zeszła na nią jesień. Po ugorowych polach, popod laski zgromadzały się stą-da wron i, zrywając się, chmurą leciały z krakaniem naprzeciw czarnych stron...

I niebo poczęło się zawłóczyć oło-wianemi chmurami — jakoby Bóg na niebiesiech zasłaniał oblicze swoje, iżby go nie dobiegły modły i jęki z ziemi...

We wszystkiej naturze występowały pojawy czegoś strasznego: jeśli nie znaki wyraźne zagłady, to zapowiedzie groźne cięższych niż dotąd klęsk.

Ludzie, widząc naokół te przesłańce złowróżbne, w popłochu myśli trwożnej zwracali się ku niebu — lecz gdy i tam tosamo napotykali, miertwieli w stra-chu i obłędnie patrzeli wkoło, jak ska-zańcy.

Którzy od chałup swoich odeszli, głodem pchani i nadzieją, jeszcze

kołaczącą się po sercach, wracali teraz z pośpiechem, jak ludzie z pól, gdy burza nadciąga.

Nawet bydło to, którego jeszcze nie wytraciły złe roki, uciekało z pastwisk, jakby czuło w powietrzu coś złego, i nie dawało się ze stajen wypędzić.

Chałupy zawierały się przed obcymi, zlękłe obawą, by kto, idący od strony podmuchu, zarazy z sobą nie przyniósł.

Aleć i obcy teraz mało szli, a ze stron, gdzie chmura czarna wisiała, nikt się nie ukazywał — jak z kraju, który wojna zatopiła i najeźdca już ustawił granicę.

Trwożna ciekawość nachodziła naród: co tam za tymi słupami? jakie dzieją się zniszczenia?

I ludzie, mimo strachu, wyciągali na wiatr szyje, jak ptactwo bezskrzydłe, tknięte przeczuciem śmierci, pozierające w stronę, skąd słychać gromy strzałów...

Albo, którzy trwożliwsi, zamykali się w izbach z rodzinami, i w milczeniu, zapominając głodu, jak snem okrutnym ujęci, przy łopotaniu serc zalękłych nasłuchiwali przez ścianę,

czy co w powietrzu nie jęczy...

I tak te chaty zwędzniałe, z przygarbionemi strzechami, koło dróg między drzewami potracone albo w polach samotne i gromadkami czerniejące wyglądały, jak pątnicy, zamierzający gonieść daleką drogę, w modlitwie, w skrusze do ziemi przypadli, kajający się, do krzty opłakani i przy ziemi okrutnej sercami ledwo dyszący.

A ponad niemi niebo zawłóczyło się coraz cięższemi chmurami –

A powietrzem Lęk pędził – jako postać najprzeraźliwsza ze snów tego lata, o twarzy niewymówionej, o oczach rozwartych strachem, o włosach wiatrom podanych, o rozczapierzonych dłoniach, o szatach grobem cuchnących – i wieścił słowa straszne:

– Na dole, między Lachy zaraza się rozszerza. Kościoły wszędzie zamykają. Odpusta, jarmarki wzbronione. Przy drogach rozstawione straże. Co dzień, co noc ktoś pada. Grabarze jeżdżą z gnojakami i – pracują. Sił im nie staje. Na Pogórzu, za Rabą cała wieś pobita morem...

— — — — — — — — — — — —

Kościół drewniany wypełnił się po brzegi zebranym ludem.

Z osiedli bliźkich i dalszych, z przysiółków, nawet z chałup samotnic podleśnych naród się zgarnął.

Nikt nie ogłaszał, nie wołał, dzwon nawet hasła nie dawał – a wszyscy, jak jednym przemożnym nakazem tchnięci, zgromadzili się w kościele.

Wśród lasu zwartego ludzi, chwiejącego się, zawiejami okrutnie usiabionego, bieliły się na podobieństwo sucharów lub zbutrzwiałych pni wyniosłe postaci gazdów, od lat tu niewidywanych, na jałowcowych kosturach oparte, o twarzach bielutkich, jako gromnice na trumnach, bez kropli krwi, którą wyssały nędze i czas stoletni.

Wśród ciżby widać też było gęsto młodzież jak nurki w sitowie zaszytą i kobiety – trzciny słabe z dziećmi blademi na rękach, ochraniające je od ścisku całym wysiłkiem ramion.

W chałupach poostali jeno całkiem chorzy, którzy nie zdołali zwlec się z barłogu, a i ci łączyli się

myślą z zebranymi.

Rozeszła się wieść po osiedlach, że mają kościół zamknąć. Przeto lud zgromadził się, jako na górze po odpływie arki — w czas tego potopu klęsk — na ostatnie modły, na ostatnie suplikacye pospólne.

— — — — — — — — — — —

Po ewangelii ksiądz przerwał mszę, zewlókł ornat i obrócił się twarzą na kościół, aby kazanie powiedzieć. Lecz pierwsze zaraz słowa utknęły mu w gardle — biała głowa zatrzęsła się — i łzy rzuciły się z oczu.

Kościół wobec tego niemego kazania ryknął ogromnym płaczem.

Długa chwila uszła, nim zmordowany lud przycichnął. Jeszcze z pod chóru i od babińca szlochanie na kościół szło — wreszcie i to ustało.

We łzach, w cichości, przy jarzeniu świec, topiły się serca.

Ksiądz nabożeństwo kończył.

Po mszy podjął podany welon, wyjął ze schowku monstrancyę złocistą, umieścił w niej najśw. sakrament i ustawił ją ~~[illegible]~~ na ołtarzu.

Poczem zesrzedł, podpierany przez mini-
stranta, na najniższy stopień — drżą-
cym, złamanym głosem zaintonował:
— Święty Boże!..

... i padł na stopnie krzyżem.

Pochylił się lud, jak las podcięty...
Wicher zwiał ciszę —
W chórze zatrzepotał się zraniony ptak,
Piersią padł na klawisze —
Krzyk, od którego serca mrą,
Bluzgnięty krwią,
Strzałą posłany do niebiosów —
I na ten znak
Zawył huragan głosów...

. . . .

„Święty mocny!
Święty a nieśmiertelny!..”

— — . . . . — — — —

Płacz we grzmotach...
Jezu, litości! Jehowo!
Jęk z walących się domów —
W krzyku serc zamiera słowo —
Las rozpacza!
Stęki drzew — pieśń oszalała zgrzytu,
Wyjąca głucho po wykrotach,
Świszcząca po piszczelach złomów —
Jęki — rzężenia — skony —

Zcichanie wichru-skowytu,
Który po polu się przetacza,
aż pada w bruzdę, znużony...

- - - - - - - -

„Zmiłuj się nad nami!"

. . . .

I znów huragan w bór uderza...

. . . .

„Święty Boże! Święty mocny!"

. . . .

Łamią się drzewa, jak pręty,
Jak źdźbła chylą się jodły grube –
Jezu! Płacz dziecka w borze!
Zabłąkał je strach nocy
Na pewną zgubę!
Huk się naokół rozszerza,
Potokiem spada z gór,
Rośnie, grzmi, potężnieje –
Nie ujdziesz! – huczy bór,
Zginiesz! – wołają knieje.
Łyska się – krzyż!
Serce zabite w wyż!
Niech w błyskawicy je zobaczy!
Płacz zginął – huczy las –
Sto zastawionych traczy –
Wodospady –
Gdzież miejsce łzom?

We wieczność z hukiem wpada czas –
Lić okrutnej zagłady –
– – – – – – – – – –
„Święty a nieśmiertelny!
– – – – – – – – –

Grom!
Od wstrząsu ziemia dudni –
Stąpania słychać olbrzymie –
Ryk stada żubrów ranionych –
Huk daleki...

Przeszło. W kadzideł dymie,
W ołtarzu, w blaskach spłomienionych
Monstracya jak słońce się południ...

O serce, serce człowiecze,
Gromem zabite na wieki!

Bór zcichły ulewa siecze –
Jęk kona – rzęzi – płynie dreszczem –
A drzewa zbite ociekają deszczem...
– – – – – – – – – – –
„Zmiłuj się nad nami!"

Burza raz trzeci nawraca...
– – – – – – – – – – – –
„Święty Boże! Święty mocny!"
– – – – – – – – – – – –

Dusza już w bezdeń pada,
Człowiek się w krzyku zatraca,
A wstaje rozpacz żywiołów –
Wyją ku niebu fale wód,
Wołają zgliszcza popiołów –

Czy imię Twoje Głód?
Czy imię Twoje Zagłada?
Żeś na wołania nasze głuchy –
Otośmy, brodząc śród męki,
Doszli do tej okrutnej toni –
Czemu nie podasz nam ręki?
Czemu uchylasz dłoni?

Ręka Twa ciężka, jak ołów –
Biada!
Nie ujdziem klęski!
Lud Twój, jako rój przeżelny
W czasie dżdżu, zawieruchy –
Boże straszliwy, zwycięski!
– – – – – – – – – – –
„Święty a nieśmiertelny!
– – – – – – – – – –

Jęk wycinanych –
Zgiełk bitwy –
Tysiąc ranionych koni rży –
Wypada postać-strach o włosach-wężach
rozwianych –

Powietrze krzyczy!
Ziemia drży
Od bożych piorunów-biczy...
Jezu! Męko!
Krzyk ranionej rybitwy
Zbłąkanej nad wodami --
Jak ziemi, chłostanej Bożą ręką...
- - - - - - -
„Zmiłuj się nad nami!"

Ostatkiem tchu lud dyszy -
Ustał. Szloch. Mgnienie ciszy -
Coś strasznego się stanie...

„Od powietrza, głodu, moru -"
- - - - - - - -
Płacz rykiem przerwał wołanie -
Buchnęły też upusty -
Morze w obłędzie płacze!
Słowo mrze -
Już nie wybiega usty.
Krzyk serc - straszny, wichurny!
Wszystkie zgarnął rozpacze -
Przestwór przecina, błękit drze,
Czarne, na niebie rozwieszone chusty -
I woła, krzyczy w otchłanie -

Po raz pierwszy i wtóry –
Słysz!
– – – –
„Zachowaj nas, Panie!"

Nikt nie odjęknął z mroku wiecznych cisz –
Przestwór grozą spokojny –
O lęku!
„Od powietrza, głodu, moru i wojny –"
– – – – – – –

Jak głucho wpadają słowa
W otchłań czarną, bezdenną – –
Nadzieja z wichrem przegnała...
Człowiek podnosi z ziemi
Twarz od ~~ro~~ rozpaczy senną –

Czyś Ty, o Boże, Skała?
A my mrowce pod stopami Twemi?
Któż nas zachowa?!

Otośmy jako naci
Pod mrozem Twego gniewu –
Złe powietrze nas traci,
Głód ścina –
Prosimy Cię na rany boskie Syna
Ochroń nas od zawiewu,

Który z północy śmie...

Chcesz lud twój wszystek widzieć w trumnie?

Oto stajemy tu przed Tobą, głodni -
Obacz krew naszych żył,
Żeli zdrowego koloru -
Czy nie dość głód nas zbił?
Chroń nas od moru!
Jeśliśmy grzeszni, kary godni,
Ulituj naszych dzieci!
Wołamy po raz trzeci
Ostatkiem sił...
\- - - - - - - - - -
„Zachowaj nas, Panie!"

„Od złej, a niespodziewanej śmierci -"
\- - - - - - - - - - -
Płacz zmordowany prośby rozpaczeni
Jęczy przy ziemi -
Ranny pies-tułacz u wrót...
Już to nie lud -
W prochu, w kajaniu jęczy dusza ludu.
Pomocy wzywa.
O Boże! zmiłowania! cudu!
To się znów zrywa,
Jak wyszydzona przez ojce niewiasta,

Pędzi odludnem polem,
~~Gna~~ Gnana bolem,
Zwidmami strasznemi gada-
Krwią ślady swych stóp znaczy,-
Aż ślepa od rozpaczy
Potyka się na grobie i pada.
A oto przed nią postać olbrzymia wyrasta-
Nieba włosami sięga-
Potęga!
Bóg!
Dusza się wije u Jej nóg,
I, stopy jej zmywając łzami swemi,
Wzrok nadziei ośmiela podnieść w chmury.-
Lecz, jak widok walącej się góry,
Strach przybija ją znowu do ziemi.
Łzami ~~nie~~ przeto obmywa stóp w Katę-
A serce jej, rozpaczą oszalałe
W prochu się nurza,
W zamieci...
„Po raz pierwszy, i drugi, i trzeci
Wybaw nas, Panie!"

Płacz przemożny. Zbliża się On-Burza.

— — — — — — — —

„My grzeszni Ciebie Boga wołamy-"

— — — — — — — — —

Grzmoty...
Całej ziemi wstrząśnienie.
Spadło kościoła sklepienie -
Minął czas -
Lud ujrzał się na Dolinie Sądu,
Jako rozchwiany las...
W serca wstąpiła otucha,
Jako rozbitkom ~~widok~~ zjawa lądu.
Tu się rozstrzygnie los -
W tem miejscu Bóg wysłucha.
Spotężmy głos!
\- - - - - - - - -

„My grzeszni Ciebie Boga wołamy! -"
\- - - - - - - -

Grzmoty...
Do Ciebie Boże, najwyższej Istoty,
Przyszedł Twój lud...
„Wysłuchaj nas, Panie!"
\- - - - - - -

Błyskanie -
Cud -
W chmurach wybłysła twarz Jehowy...
\- - - - - - - - -

Lud w proch pokotem padł...
„Przepuść nam, Panie!"
\- - - - - - - -

„My grzeszni…”
Jakiemi wołać doń słowy?
Strachem pobladła rzesza –
Niemasz ~~w~~ wódzcy – Mojżesza…
– – – – – –
O biada!
W dłoni Jego zagłada!
Nie ulituje się męce…
– – – – – – – –
Do Syna! który siadł po prawicy –
Krzyż ujął w ręce…
– – – – –
„Jezus przepuść! Jezus wysłuchaj!
O Jezu! zmiłuj się nad nami!”
– – – – – – – –
Nie słucha próśb – pogląda z góry chmurnie –
Miłosierdziu Jego wszak niema granicy!
Wołajmy wtórnie!
Przebaczy…
– – – – –
„Jezus przepuść! Jezus wysłuchaj!
O Jezus! zmiłuj się nad nami!”
– – – – – – – –
Nie słucha wołań – o rozpaczy!
Patrz – Matka Jego po lewicy –
Udajmy się do Matki –
Ona nasza! wybłaga swoje dziatki…
– – – – – – – – –

„Matko, uproś! Matko, przebłagaj! –
O Matko! przyczyń się za nami...”

- - - - - - - -

O losie! Oblicze swego nie rozchmurza –
a On pośrodku strzechy, jako burza,
we włosie – wichrze –
wołający po raz trzeci...

- - - - - - - -

„Matko, uproś!”
Wskrzeszony Twoje dzieci ±
„Matko, przebłagaj!” +
O Matko! przyczyń się za nami...”

- - - - -

Nie słyszy – biada!
Serce pęka na ćwierci –
wołanie coraz cichsze –
jak śmierci –
I Dusza martwa w proch pada.

— — — — — — —

— — — — — — —

Ksiądz krzyżem odstał od ziemi –
podpierany z obu stron, wyszedł po
stopniach do ołtarza – wziął mon-
strancyę złocistą i trzy razy ją
w drżących dłoniach nad ludem le-
żącym podnosił... Potem zamknął

Sakrament i odszedł do zakrystyi.

Lud się, jak kłosy dłonią zamęczone podejmowane, pomału z ziemi podźwigował i w milczeniu wysypywał się z Kościoła. Wysypał się wnet wszystek i Kościół na długo zamknięto.

Władysław Orkan.

Władysław Orkan: „Świt."

Cicero!

(korekta do mnie)

Świt

Przedziwne są brzegi Leny – zwłaszcza w jej średnim biegu u wpadu rzeki Jeliküy, gdzie jej wody przeczyste roztaczają się na wiorstę wszerz i więcej i mienią się olbrzymiem zwierciadłem na podobieństwo zatoki... Fioletowa ściana skał wapiennych obejmuje tę masę wód zakoleniem łagodnem od wschodu, a zasię na południe i ku zachodowi równo od zwierciadlanej krawędzi ściele się step nieprzemierzony –: roztocza o bujnych trawach, łąki o wszystkich barwach jakie są na ziemi, wśród nich stawy trawskami zarosłe, jeziora lśniące na parę wiorst rozlane, mokradła z kępkami drzew, laski rzadkich brzóz i limb potraconych – równień przerozmaita, błękitem oddalenia na zachodzie o fiolety skalnego

pobrzeża rwącej Jelikty oparta, a na południu o stopy zmroczniałej, w omgleniu słonecznem szarzejącej tajgi...

Przedziwny kraj... Gdyby nie sroga syberyjska zima, która ścina w lód bystrą kitną wełny Leny i śmiercią mroźną wszystko żywotstne na długie miesiące przysiada, obraz tej okolicy pozostałby niemącony we wspomnieniu zesłańca, gdy go od niej setki mil szczęśliwie dzielą, jako jeden z najcudowniejszych obrazów południa... Za to lato, choć krótkie, tem zawzięciej rozkuwa z kajdan zamrozu śpiące życie, wywołuje z ziemi nagle rozpalanej kwiaty o stroju niesłychanym, ciska na obudzone bogactwo barw, oswobadza na radość życia wszelkie stworzenie tej ziemi, ściąga chmary przeróżnostrojnego, różnymi głosy krzyczącego ptactwa... Krótki - między długimi letargami zim - krzyk i płomień życia.

W jedno takie płomienne popołudnie po wysokim, wschodnim brzegu Leny przeciw jej biegu niósł czarny

konik tunguski Wacława, jednego z owych wielu, którzy na tę Riwierę syberyjską podróżują „etapami." Jeździec uzbrojony był w długą strzelbę i nóż, jakich myśliwi Tunguzi używają. Dumnym był ze „swego" konia, z nabytej od Tunguza broni, i z przyjemnością prawdziwą myślał o tym ~~z~~ zawodzie swobodnym, który od półtora roku z powodzeniem korzystnem uprawiał. – Jeden niedźwiedź, którego przy pięcio-osobnej obławie położył, trzy jelenie, łoś, pięć rogaczy, setki gęsi i kaczek jako też drobniejszego ptactwa, które czasu różnego ustrzelił, ugruntowały sławę jego myśliwską w „komunie", jak ideowo zwali swoją grupkę, osiadłą na „czasowy pobyt" w nadbrzeżnem tunguskiem siole. – Zważywszy, że z całej „komuny" nikt prócz Wacława nie był sposobnym do myśliwskiego rzemiosła – próby, jakie przedsiębrało paru, miały nieszczęśliwe skutki – rada komunalna na niego włożyła obowiązek dostarczania zwierzyny i ptactwa do wspólnej kuchni. Zgodził ~~się~~ ochotnem sercem, jako że wałęsanie odpowiadało jego próżniaczej

a przedsiębiorczej naturze; mógł też przy tem zajęciu dniami całymi przebywać poza siołem i nie widzieć aż do mdłości uprzykrzonych twarzy towarzyszy.

Z początku „Kommuna" zapowiadała się świetnie. Ludzie, wyrwani z samotnictwa, szczęśliwi już byli przez to, że się mogli wygadać. Do wspólnego dobra składali prócz materyalnego mienia swoje najlepsze strony—: humor, uczynność, ustępliwość, nawet nierzadko delikatność uczuć. Wspólne obrady np. nad kwestyą obiadów odbywały się tak zgodnie, jakby wszyscy od urodzenia w Kommunie wyrośli. Wkrótce jednak harmonia poczęła się psuć. Za duże były różnice wyrwanych z różnych światów ludzi, iżby je podobieństwo losu mogło stłumić. Indywidualne zdania, przekonania poczęły się ze sobą ścierać i ze słownych utarczek poczęły się wyradzać kłótnie. Dopieroż gdy przyszły na stół programy i „principia"!.. Partye, z których każda miała tu jednego przedstawiciela, znienawidziły się tak, iż ledwo obiad je łączył. W nienawiści pożywali każdy kęs

daru bożego. Stronili od siebie, jakby jeden na drugim oznaki trądu odkrył.

Był przecie jeden moment... Wacław uśmiechnął się mimowoli na przypomnienie tej chwili. – Było za siołem nieopodal wzgórze, skąd roztaczał się widok na daleki zachód. Tam to nieraz tęsknota go wywoływała. Stoi raz, zapatrzony na czerwień zachodu – słyszy szmer – obziera się – a tu się wlecze jeden z „kommuny", później drugi, trzeci... I tak, stroniąc od siebie, na jednem Wzgórzu Tęsknoty wszyscy się naraz znaleźli. Wstyd ich przed sobą przejął – każdy starał się jakiś bardzo racyonalny powód swojej obecności podać. Później już każdy inne godziny dnia na to wzgórze wybierał. – Był tam cmentarz zesłańczy: kopców kilkanaście, brózek parę i jeden krzyżyk drewniany na mogiłce, na ramieniu którego wycięty był dwuwiersz – słowa, jak ten krzyżyk proste –:

„Spiej dietia – żyźń taska." x)

---

x) Spij dziecię –
Tęsknotą bowiem jest życie.

Takie proste, a wszystko mówiące. Wryły się na zawsze w pamięć Wacława, jakby na sercu jego były wycięte. Coś bliskiego bardzo, ojcowskiego słyszał w tym cztero-słowie. Nieraz, upewniwszy się, czy żaden z towarzyszy nie nadchodzi, padał na tę mogiłkę i szlochał, jakby najmilsza jego dziecina była pod tym krzyżykiem schowana. A gdy zorze czerwone na zachodzie gasły, męką tę skuły biegł za niemi przez ziemie-kraje aż ku Wiśle...

Ścieżyna nieznaczna wśród fioletu wapienia, odbita ledwo parę sążni od ściany prostopadłej brzegu, podnosiła się ku górze. Koń szedł przemyślnie po śliskiem oskalu i umiejętnie omijał zdradliwe rozpady. — Wacław z czułością pogłaskał jego szyję. Zalety jego niezwykłe miał już sposobność poznać. Nabyto go przed dwoma laty od Tungurasąsiada za pieniądze komunalne. Był więc własnością „Kommuny". Na nim odbiła się najwięcej niezgoda jej członków, bo każdy rościł sobie na różnem uzasadnieniu jedyne prawo do niego,

każdy chciał na nim jeździć. Koń biedny tracił czasem swoją orjentację, myśląc ze smutkiem, że jest osłem. Mimo to jednak, że dźwigał na swym grzbiecie różnymi czasy tyle kłócących się ze sobą niegramatyczności —: es-erów dwóch, es-deków kilka gatunków, bundowca-Jozuę i oburęczną P.P.S. — nie stracił jeszcze rumaczych zapędów. Odkąd zaś Wacław z racyi swego myśliwstwa zaanektował jego grzbiet dla siebie, koń wracał prędko do swych cnót tunguskich — niósł lekko po trudnej ścieżce, jak za dawnych czasów. Wkrótce wydostali się na ~~wz~~ wznie-sienie.

— Jakże pięknie! — wyrwał się głośny zachwyt z piersi jeźdźca, gdy rzucił oczyma na lewy brzeg... Wstrzymał konia i patrzał.

W międzywidlu przestrzennem, jakie utworzyła Lena z wpadającą do niej na północnym zachodzie Jeliktą, której wał piany srebrnej przy wpadzie ze wzniesienia widać było, rozścieliła się cała tęcza barw — od piasku

różowego przy brzegu, aż do błękitu od dali... Słońce, wiszące na połowie zachodniego skłonu, zalewało całą dolinę pyłem świetlistym, który zamgliwał one pasma tęczy i zacierał granice barw... Kępki drzew i rzadkie laski wyglądały w tem omgleniu, jak zatopione w jeziorze różowem majaki drzew i lasków. Jedynie tafle bliższych stawów, smugi dalszych i linijki najdalszych jezior błyszczały na tej przestrzeni jako odstrzelenia słońca.— A zaś od stóp wzniesienia roztaczały się szeroko wody Leny, daleko widoczne na południe, jako jeziorna zatoka. Na ruchliwych, szerokich falach łamały się zwierciadła barw — od granatu ciemnego, aż do zieleni jasnej i opalu. Czasem ponad majestatem wód, niby słoneczny pocisk, przestrzeliła powietrze rybitwa. Zresztą prócz głębokiej, tajemnej mowy fal nic nie mąciło świętej ciszy światła.— Na dalekiej łące na południu

widać było zdrobniałe oddaleniem stado pasących się swobodnie, połyskliwych koni.

Zachwyt Wacława, gdy wzrokiem ten o-braz chłonął, zamącał jedynie żal, że niema obok siebie nikogo z najbliższych, z kimby mógł radość podzielić, ani dłoni drogiej, którąby mógł w milczeniu uścisnąć.

Nim ruszył dalej, pomknął jeszcze spojrzeniem wzdłuż lewego pobrzeża na południe, gdzie na krańcu równi-ny obok światła wód tlił się punkt czerwonawy, jak iskra przygaszona.

– Daleki jeszcze trud do chaty Jana. Do-piero połowa drogi. – Porachował w my-śli wiorsty. – Przed wieczorem dojadę.

Ścieżka sprowadzała po schyleniu – brzeg się nieznacznie poniżał, i o parę wiorst dalej wychylał się jego przekrój dłużny zaledwie parę sążni ponad wo-dę. Natomiast na lewo od drogi wy-dźwigiwały się zbocza, pokryte prze-rzedzonym lasem, z których wyskaku-jące gdzieniegdzie skały i ściany wapienne spychały ścieżkę ku za-nej krawędzi lądu.

Droga wiła się znacznie; to zbliżała się ku wodzie na wapienne bruki, to odchy- lała się na trawiaste łączki, gdy zbo- cza stopy swe cofały, i rozszerz czyniła się większa. Mimo to Wacław ciągle przed oczyma miał świetliste wody, zwężają- ce się ku południowi, i różowy pas lewego brzegu.

Kotlinę tę przestrzenną na połu- dniowym zachodzie, gdzie gasło światło rzeki, zamykało zsiniałe pasmo gór, które dziwny cień rzucało na radość całej doliny; nawet przez gęstą sre- żogę słoneczną przedzierał się zwy- cięsko czarny smutek tajgi... Nie- znacznie jako mgła wdychana wsą- czał się w chwilę upojone serce — i duszy dziwnie się widziało, czemu gaśnie jej radość, dar słońca.

Napróżno Wacław utknął oczy- ma po barwach wód, mieniących się pod czerwieniejące już słońce tęcza- mi, jak roztoczone skrzydło archa- nioła, napróżno wiódł spojrze- niem po spłomienionem pobrzeżu

lub dźwigał je ku zorzom nieba — nie wróciła radość zagaszona.

— „Żyźń taska"... — dzwonił smutek tajgi.

— Więc to jest ten ptak czarny, nieodłączny towarzysz zesłańca?.. Przez sto zdradliwych sideł, misternie rozumem utkanych, jak przez pajęcze siatki się przedziera — z oddali szczęsnej zapomnienia gołębiem pamiętającym z wieścią okrutną niechybnie na czas przybywa — naprzeciw słońca i duszy darzonej chmurą trwożącą zawisa — każdą chwilę radosną skrzydłem czarnem jako liść wiatrem porywany zwiewa — jako krzyk mewy zbłąkanej we wichrze jest jego krzyk rozpaczny, wywołujący ze życia — jedynie na mogiłę zlatuje pełen współczucia, litośnie skrzydłem zimną darń ochładza, wiew jego jest jako szept matki:

— „Śpij dziecię"..

— O ptaku-smutku! O ptaku-tęsknoto! O Duszo-tajgo szumiąca!..

Zwoływał wszystką wolę, wszystkie potracone światła, aby nie dać serca

w szpony smutku, który go niekiedy na długie dni obezwładniał. Nawodził na pamięć różne przydarzenia, wyraźne sprawy, ludzi...

Począł w końcu z zajęciem myśleć o najbliższym na tej przestrzeni osobniku, o starym Janie-rodaku, który mieszkał w samotnej chacie na krańcu rozwidla, na lewym brzegu rzeki. U niego zwykle miewał nocleg, gdy w tych stronach polował. – Stary lubił myśliwych; sam nie mogąc dla starości używać z pożytkiem strzelby, radami doświadczonemi im służył: jakie wybierać miejsca na zasiadkę, którymi szlakami zwierz grubszy chadza, gdzie go najlepiej podejść itd. W zamian za życzliwe rady i gościnę myśliwi zostawiali staruszkowi zawsze jakąś część upolowanej zwierzyny.

Miesiąc już, jak starego nie widział. Jak go też przyjmie? – Stary dziwaczał czasem. Nachodziła go chandra – wtedy zamykał się w chacie albo zaszywał się gdzie w tajgę i tygodniami

się nie pokazywał. Nie dziwota – w tej pustelni mógł zdziwaczeć na dobre. Wszakże i on sam, młody, miewał takie psie czasy. Było – gdy zima zdawała się w nieskończoność trwać (a mieszkał wtedy osobno w chacie starego przybysza-tatara) – kładł się na piec, naciągał skóry na siebie i leżał tak tygodniami bez nijakiej zgoła myśli. Nie miał nawet woli jeść tyle, co go przymusili. Często gospodarz, poczciwy stary Osman, chcąc wyrwać go z tej martwoty, siadał na trójnożku naprzeciw z flaszką wódki w ręce i kusił go, namawiał oczami i gestem. Naprożno. Nie dawał się skusić. Osman już wtedy kiwał ze zwątpieniem głową i odchodził przygnębiony.

– Och ta okrutność zim!.. Długoż to jeszcze?..

Uczuł, że znowu szpony po serce jego sięgają. Począł więc pilnie myśleć o celu podróży. Jeleń napewno się trafi. Schodzą w tym czasie z tajgi ku jeziorom. Stactwa moc. Posiedzi z tydzień w chacie Jana. – Pomacał się po

kieszeniach. – Herbata, cukier jest – stary to lubi.

– Czemu on tu siedzi w tem odludziu? Nic go przecie nie więzi. Dawno już wolność ma. Chyba starość!...

Zbliżył się tak, jadąc wciąż ponad wodę, że mógł już dach i ściany chaty na przeciwnym brzegu, choć w oddali, rozeznać.

– Czy go tylko zastanę? – pomyślał. – Czy nie poszedł gdzie w górę rzeki za rybkami? Na <u>sigę</u> staruszek łakom, a ta się bardziej górnej wody trzyma.

To przypuszczenie strapiło go. Musiałby noc spędzić na prawym brzegu, co żadnego nie przedstawiało powabu. Łódek na tej stronie niema...

Wpatrzywszy się, zauważył pasemko dymu, wysnuwające się z przed chaty. Więc stary jest. Chwała Bogu. Popędził żywiej konia.

Słońce prawie opierało się na widnokręgu krwawem kołem, kiedy dojechał celu. Z brzegu widać było wyraźnie chatę naprzeciw i dwóch ludzi przed progiem, pomniejszonych znacznie oddaleniem.

Podniósł się na strzemionach, przyłożył dłonie do ust i huknął w stronę chaty. Lecz głos przepadł zaraz przy brzegu, jak plusk kamyka – połknęły go olbrzymie nurty. Chwilę stał, zawiedziony, myśląc, jaki dać znak o sobie. Wtem zauważył, iż jedna postać odrywa się od chaty, zdąża nad brzeg, przystaje i, przyłożywszy dłoń do czoła, patrzy ku niemu.

– Kochany stary – szepnął. Porwał czapkę i począł nią machać ponad głową.

Za chwilę łódka przecinała w poprzek fale Leny, kierując się w stronę jeźdźca.

Wacław tymczasem zlazł z konia, zdjął z niego siodło i, poklepawszy go po szyi, puścił go na wolną paszę. Gdy zeszedł nad wodę, łódka już była blisko. Widać było wyraźnie postać przewoźnika. O twarzy spalonej słońcem i mrozami, o długiej białej brodzie, z poważnymi ruchami ciała i rąk, gdy wiosłował, na tej szerokiej wodzie, krwawymi blaski zapalonej, wyglądał jak przewoźnik Charon.

Niezadługo Wacław znalazł się

przy nim na łódce. Przywitali się serdecznie.

— Co słychać, ojcze Janie?

— Chwalić Boga. Wszystko po staremu. Rodak zapewne po zwierzynę?

— I to po duży zapas.

— Czas dobry. Może się udać. Wiem ja o jednem miejscu...

— Tam, gdziem był ostatnim razem?

— Nie, w innej stronie. Zwierz co jakiś czas zmienia drogę. Ma i on swoją rachubę.

— Miesiąc to już, jakeście mię, ojcze, przewozili. Nie zdarzyło się co tymczasem?

— Cóż się tu może zdarzyć? Ot, może być takie zdarzenie, że rodak stanie nad wodą, i nie będzie go miał kto przewieźć. Stary już nie wyjrzy przed próg.

— Czerstwiście jeszcze, ojcze.

— Duch spróchniały. Zatem i ciało się rozsypie.

Byli już na połowie wód. Chata się przybliżała.

— A któż u was w gościnie?

— Moskal, posieleniec.

— Ach ten... Czegóż on?

— Wojenne prawo dla wszystkich. Czas dobry. Przybył zapolować.
— Ja chyba pójdę sam na zasiadkę...
— Lepiej razem: wiedzieć, gdzie on... Tungu, zi mówią — zniżył głos — że on niby przypadkiem, trafiało się, i myśliwego ustrzelił. Jemu to nic. Jak ślinę przełknąć. Na zbrodniarza on patrzy.

Wkrótce znaleźli się na brzegu. Stary z pomocą Wacława wyciągnął łódkę na piasek. Podeszli ku chacie, gdzie przed progiem tlił się złożony ogień. Brodacz leżał na ziemi koło ognia. Za ich nadejściem podniósł głowę i odmruknął coś na przywitanie.
— Rozgośćcie się, — rzekł Jan — a ja pójdę popatrzyć w saki, czy się co nie złapało. Wędzona rybka na lecie nie ma smaku.

Wacław wręczył mu przyniesione skromne zapasy herbaty, cukru, soli.
— Ho! to dziś prawdziwe święto — ucieszył się staruszek i dziękował. Poczem udał się ku wodzie.

Wacław usiadł przed chatą na ka-

watku drzewa. Miał przed oczyma wody Leny i przeciwległe zbocza, płatami lasu i trawą pokryte z rzadkimi ciosami skał wapiennych.

Równinę cień począł zasnuwać. Światła na wodzie krwawe zagasały — fale na szerokich grzbietach poczęły przybierać szklące jak smoki połyski przyczarnych zgurbach cielsk. ~~Zboc~~

Zbocza jeszcze były w promieniach słońca. Trawy i płaty lasu złociły się bogato, a łby wapieni płonęły, jak olbrzymie fioletowe ogniska. Wreszcie i od stóp zboczów począł cień nieznacznie a szybko iść ku górze — niezadługo czubki jeno paliły się jak włosy płomieni — i te zgasły. Zmierzch począł szybko zapadać.

Wacław zbliżył się do ognia.

— Towarzysz na kaczki? — zagadnął leżącego, nie wiedząc, czemu go towarzyszem nazwał.

— Co się zdarzy.

— Pójdziemy razem o świcie.

— Jak wola pańska — odparł brodacz,

kładąc nacisk wyraźny na ostatnie słowo.

Jan wrócił, niosąc na naręczu snopek gałęzi, w ręku pęk związanych ryb. Wkrótce ogień buchnął jaśniej, podsycony suchemi gałęziami. Gospodarz, ustawiwszy nad płomieniem kociołek z wodą, począł na odgarnionych węglach piec z powagą przyniesione ryby.

— Siga najbardziej lubi ogień — prawił. — Wędzona lub suszona nie różni się od innych. Te nieduże. Czasem trafi się na łokieć i więcej.

Obracał je umiejętnie, obwąchiwał, czy już mają dość, wreszcie układał je na skryżali cienkiej i stawiał przed gośćmi. Sam spożył jedną. Potem herbatę rozlewał. Gościom podawał w szklankach, sam zaś pił w okrągłej chińskiej czarce, która prawie w dłoniach się mieściła.

— Do szklanki — mówił — nie mogę się przyzwyczaić. Czarka ma tę zaletę, że, choć gorący czaj, nie parzy. Chińczyki oni to wiedzą.

Po skończeniu wieczerzy, wycierając szklanki, zwrócił się do siedzących:

— No, panowie. Wojenne prawo. Czas spać.

Musicie ruszyć, nim dzień zacznie, chcąc być na miejscach przed świtem.

Brodacz odsunął się od ognia i, owinąwszy się w szynel, począł wkrótce chrapać. Jan dawał rady Wacławowi:

– Pójdziecie brzegiem starego Koryta, potem przez łąki i mokradła. Jak rozumiem kierujcie, coby na groblę natrafić. Przechodziliście tamtędy. Jak staniecie pod lasem, wtedy moskala na prawo, a sami przejdźcie przez wzniesienie na kraj doliny, nad jezioro. Tam raj na ptactwo. Tajga też zaraz na lewo. Jeleń o świcie rad zlatuje ku wodzie... a teraz niech się rodak prześpi.

– Coś chciałem się was, ojcze, spytać... Czemu do kraju nie wracacie?

Stary cisnął ku niemu spojrzenie trwożliwe, przygarbił się i milczał. Dłoń mu tylko poczęła się trząść, w której trzymał wytartą szklankę.

– Przecie was tu nic nie więzi. Wolny przed wami szlak...

– Dużo rozpowiadać.

– Długoż wy tu już, ojcze?

– Czterdzieści lat.

– Kęs czasu...

Stary, pomilczawszy chwilę, począł:

– Do kraju, powiadacie... Czekał ja tej chwili, jak zbawienia. Tą jedną myślą żył. Lata mijały. Różnie było. Aż przychodzi wieść: amnestya. Jaki taki zbiera ucin, łamy grosz, pakuje się i wraca. Wielu jednak tu się już zagospodarzyło, rodzi-ny pozakładało, ba, profesye haniebne – ot, ludziska. Tęskni, tęskni – powiada – a potem wychodzi świnia. Jak naten-przykład ten... znacie – kabak założył, handluje, wódką rozpaja ludzi, lichwia-rzem się stał na okolicę. Mówię o tem ze smutkiem, bo i ja sam... Więc jak nadeszła ta wieść, tak ja dumam... Ko-dziny ja tu nie miał, nic mię tu nie trzymało, ale po prawdzie nie było o czem wracać. Co lepsze, to ucieka-ledwo samym na powrót starczy – a iść o pomoc do tych, co dobrowolnie tu zostają... wiadomo, jacy. Nie – dumam – inny sposób znajdę. Wziął ja się do lepienia garnków. Zarobek niezły. Za jakiś czas uciułałem sumkę sporą.

Myślę: wystarczyłoby. Wtedy zaczynam rozważać: do kogo ja wrócę, rodziny niema, nikogo, dawno wszystko już pod ziemią, od lat listu żadnego – obcy do obcych?.. Jak z tego poszedł ja w kabak i tydzień pił. Przepiłem wszystko, do kopiejki. Wytrzeźwiawszy, poczynam się karcić. Znowu do pracy, do lepienia. Zacinam się i składam. I znów po jakimś czasie tosamo. Przepiłem wszystko do ostatka – ubranie nawet, sprzęt kuchenny... Jużem kabaku nie opuszczał. Robotność odleciała. Począłem żebrać, rzekomo na powrót, i przepijałem uzbrane grosze. Och, nizko spaść może człowiek, gdy go Bóg opuści. Aż raz – przyszło opamiętanie. Stanęło przedemną Sumienie – tak wyraźnie, jak was tu widzę. Och, groźne!.. Rzekło mi: „Żeś potrzykroć zgrzeszył przeciw Duchowi, nie wejdziesz do ziemi obiecanej. Nie zobaczysz Kraju swego, na wieczne skazan wygnanie." Jak kamień te słowa spadły mi na serce. Przestał ja pić, jak uciął – i tu od ludzi się wyniosłem, aby się ustrzedz

pokus. Ot, i żyjś, póki śmierć nie wybawi. Bóg może daruje winy i dozwoli choć duszy spojrzeć z góry na ziemię swoją...

— I możecie tu wytrwać? Zimy srogie...

— Bóg jakoś spomaga. Nieraz od wilków wybawi. Ot, ściany pazurami zdrapały, dobywając się. Rybek nawędzę, nasuszę — Tunguzi saniami po siano dojeżdżają, to za pomoc herbaty, soli zostawią... Jakoś się trwa. Och, zima!.. Myślę: śmierć wkrótce wybawi... Miałby ja prośbę do rodaka — ozwał się po chwili przerwy. — Wrócicie wnet do kraju. Grudkę ziemi prześlijcie pocztą, ze ziemi mojej, płockiej... Niech się z prochem moim pomiesza. Prosił ja już wielu, przyrzekali, ale pewnie, wróciwszy do kraju, zapomnieli, albo też poginęli, zanim...

Milczenie długie nastało. Wacław, odchylony od ognia, patrzał przez mrok w twarz Jana, który siedział nieruchomo, zapatrzony w ogień — w przeszłość swoją... Twarz mu się pomarszczyła,

przygarbił się, jakby dziesiątek lat przez tę chwilę wspomnień mu przybyło.

Ocknął się po chwili, poszedł do skrzyni, wyniósł książkę, rozłożył ją przy ogniu i na klęczkach, do ziemi czołem pochylony, począł się modlić... jak Wacław wnioskował. Gdy zamknął wreszcie książkę, Wacław wyciągnął rękę po nią.

— Nie śpicie? — zdziwił się Jan.

— Nie...

Przeczytał pod blask tytuł: „Poezye Mickiewicza". Książka była zniszczona, litery pozacierane, widać lata już była w użyciu.

— To jedyny mój skarb w chacie — tłómaczył Jan. — Nie oddałbym go za nic. Przez zimy jest mową moją, w chwilach zwątpień — otuchą. Mam jeszcze jeden tom. Z tych ksiąg wyszło do mnie wówczas Sumienie...

Nic już nie zamąciło ciszy. Dowiewała tylko czasem od brzegu głęboka mowa fal.

Zdało się Wacławowi, że tylko chwilkę się zdrzemnął, gdy go zbudziła dłoń Jana.

— Czas już. Kosy nizko.

Brodacz już stał gotowy. Pożegnali starego uściskami dłoni i ruszyli. Jan odprowadził ich za chatę.

— Niech Bóg poszczęści — szepnął Wacławowi — Wracajcie wnet. Obiad przyrządzę.

Wacław puścił brodacza przodem. Szli w milczeniu. Noc jeszcze gęsta trwała. Jednak od iskier gwiazd czyniło się na ziemi źroczniawo, tak, iż można było kształty przedmiotów, topiących się w pomroku, rozeznać. Trzymając się wskazań Jana, szli brzegiem dawnego łożyska Łeny, na dnie którego spała woda, płachtą mgły równo nakryta. Następnie wydostali się na łąki. Rosa gęsta przygniatała trawy powalone — brnęli przez nie, jak przez rzekę. Na prawo ku północy rozciągała się i ginęła w mroku równinna przestrzeń z rzadkimi majakami drzew i wizjami mgły, osiadłej na jeziorach. Na lewo niedaleko czerniły się kępy i wznosiło się ciemne zbocze o roztopionych w zamroczy konturach. Ciszę zamącał jedynie daleki poszum wód — chwilami

ledwoznaczny, to znowu wyraźniejszy — i szelest oroszonych traw, przez które brnęli.

Wacław, idąc w milczeniu w tropy za brodaczem, myślał długo, co może być w duszy tego człowieka, to z rozrzewnieniem przypominał historyę Jana. Przytem nie mógł się oprzeć przykremu uczuciu, iż przez te ciche łąki przekrada się w towarzystwie zbójcy, aby zbrodnię jakąś spełnić. Stracił je dopiero, gdy się poczęły mokradła. Trzeba było całą uwagą baczyć, gruntować stopą powierzchnię, przeskakiwać z kopca na kopiec, wymijać, by nie uwiąznąć w mlace. Trafili na groblę wązką i szli już bezpiecznie dalej.

Doszli wreszcie do miejsca, gdzie wał lesisty, zatoczony od południa, przecinał równinę i zniżał się jakoby łapą ciemną ku jeziorom.

— Towarzysz na prawo? — zagadnął Wacław brodacza.

— Można — odmruknął tenże.

— Szczęścia życzę.

— Wzajemnie.

Skręcił z miejsca i posredł skrajem lasu; a Wacław ruszył przez las, minął wzniesienie i gdy wydostał się z ciemni leśnej, znalazł się na brzegu doliny, wąską szyją od wschodu zatoczonej, na zachód zaś daleko rozwartej, gdzie się z równiną stapiała. Zaraz od szyi na wschód i półn. dnie dźwigała się zboczem i rosła w przestrzeń zmroczniałą czarna noc tajgi...

— To jest to miejsce — szepnął Wacław, nie mogąc się oprzeć drżeniu. Czuł na twarzy i sercu bliskie tchnienie tajgi, jako oddech żywego potwora. Opanował się przecie, wypatrzył na skraju kępkę wysuniętą drzew, podszedł tam, narwał gałęzi, zrobił siedzisko i usadowił się pomiędzy pniami. Strzelbę wziął na kolana...

— Tędy muszą z tajgi schodzić — pomyślał. — Może i parę sztuk się trafi...

Noc jeszcze trwała. Cisza taka nakaźna wisiała w powietrzu, że Wacław oddech przytłumił i zastygł w martwocie czekania. Gdy tak trwał w znieruchomieniu, a chwile cichy jako sowy ponad nim na gałęziach posiadły, poczęły dowiewać od

strony tajgi głosy dziwne – jęki – posmuty – westchnienia...

– Tajga mówi – przypomniały się Wacławowi słowa Tunguzów. I wsłuchał się całem czuciem wgłębionem w tę mowę...

Naprzód z dalekich – dalekich okrain jakieś echo... ni to myśliwski róg, ni krzyk ostatni zwierza... Stłumione oddaleniem... Zgasło. Zaczem ze środka lasu, z piersi tajgi wydobywa się postęk – zrazu słaby... nabrzmiewa bólem – potężnieje – jak młoty spadają na serce jego razy... Och! och!.. Czy nie ustanie? Czy się nigdy nie skończy? Wieczność trwa... O jęku ziemi!.. Nareszcie... Postęk słabnie – przechodzi w ciche rzężenie... Ktoś w tajdze kona!.. Cyt... Szelesty... Gdzieś górą... Jakby Duch tajgi u szczytu prostował skrzydła... Cisza znów. Cisza straszna. Cisza-przerażenie. Czy wszystko zmarło?... Taka cisza ma być, gdy wszystko na ziemi zginie – i gwiazdy odlecą. Duch przestanie szeleścić. Nic tej ciszy wyrazić nie zdoła – słowo, myśl nawet szeleści. Młoty serca jak

Dźwięczą w tej otchłani!.. Dokądże będzie trwać?
Och przecie... Dźwiga się głos — jak senny pomruk obudzonego potwora. Potwór mruczy...
Straszny być musi jego gniew. Któż jego głód zaspokoi? Ziemię pożre, gdy wstanie.
Zasnął przecie... Śni mu się tylko głód.
Cóż to?.. Z dalekich stron — organy... Ledwo słyszalne — wiatr przynosi... Nie — bliżej...
Ton wyraźny... Och — jak nastraja duszę!..
Czy to Ty, duchu tajgi?.. Któż tak na ziemi może grać?.. Coś czarownego... Skąd organy?.. Przedziwna harmonia... Podnosi się ku gwiazdom i spada niżej pojęcia, w głąb ciemną... Czy to melodya zginionych ziem — czy mających się narodzić światów?.. Dusza drży z trwogi szczęścia... Więc jej przeczucia były prawdą? Jest muzyka, o której nie wiemy. O — jak się górą niesie... Odpływa... Wraca... Nie — to śpiew słychać... jaki wysoki! Czy to w koronach drzew — czy na gwiazdach?.. Och ty aniele śpiewny! zleć! zniż się! Niech dusza umrze szczęśliwa... Czyż to tylko echo było? Jak smutno... Płyńcie łzy — już nie wróci. Szum słychać... Nie —

to czas się we wieczność przelewa... Wszę i ta chwila jedyna... O morze wieków! na tobie my rozbitki... Pogasły gwiazdy nad nami... O wieczny, nieskończony Mroku!.. Czas odpłynął... Pozostał tylko jeden ton... O jak ubogi! jak smętny!.. Z czem go porównać? Chyba z duszą, na śmierć otrutą smutkiem. Niesie się górą tajgi. Ni to melodya, ni wołanie - coś dziwnie niepojętego...

I ten przepadł. Na niebie bowiem poczęło dnieć. Gwiazdy przygasały - niektóre już poznikły. Dolina jeszcze była w mroku - tyle jeno od nieba rozwidniała, że się odróżnić wyraźniej dawały: szara płachta mgły, zielono-mroczne płaty łąk i czerń majacząca lasu. Cisza drżąca, jak zatrzymany oddech, zawisła długo w powietrzu - oczekiwanie radosne i trwożne zarazem przejęło całą dolinę. Widziało się przez spełzłą zasłonę mroku, iż się podnosi piersiami, wstrzymującemi dech, naprzeciw dnienia... Dreszcz zimny, jako przeczucie oddania się ziemi światłu, przebiegł wszystko

żywiołowe i rozemdlił się w tęsknocie cze-
kania. Na ziemię począł padać z poja-
śnionego już nieba szary, sinawy pył
i osiadać na łąkach, na zboczach, iż wy-
stąpiły oczom z mroku, który je zacierał.
Lecz ledwo się to stało, poczęła się na nie-
bie rozpraszać oświetl różowa od wscho-
du, a szary pył, osiadły na ziemi, przy-
brał nieznacznie barwy fioletu.

Wtedy to ze mgły, leżącej w kotlinie,
dobiegł nastrojonych uszu Wacława
pierwszy odzew życia: kwak cyranki.
Barwy na łąkach zadrgały, jakby potrą-
cenie tego głosu zbudziło trawy, schylo-
ne pod rosą. Za tem poczęły się odzy-
wać głosy inne. Były nieśmiałe zrazu,
zbudzone ze snu, pytające. Niektóre do-
biegały z dalsza, z kęp jeziora, jako grze-
chotania ciche, niektóre zaś odzywały
się zwyraźniałe bliskością, tuż z przy-
brzeża. Wacław rozróżniał po głosie
krzyżówki, edredonki i wiele innych,
które znał jeno z barwy. Głosy mnoży-
ły się – jedne wywoływały drugie – i po-
gwar zataczał coraz szersze koła na

jeziorze. A to wszystko działo się pode mgłą, która zciężałą warstwą leżała na wodzie.

Dolina rozwidniła się już znacznie. Jeszcze fiolet ciemny nie spełznął ze ziemi, lecz już powietrzem jako płatki jabłonnego kwiecia spadało różowe światło i osiadało na trawach, na drzewach, mieniąc się z występującą zielenią i niknąc, czym niby cień wiotki fioletem.

Odkryły się oczom łąki, ciężkim mieniącym się płaszczem rosy przysiadłe, o plamach kwietnych różnej barwy, przez owo rośne okrycie niby przez szybę omgloną majacznie przezierających. — Wysuwający z tajgi czarne łapy, cofnął się mrok, stępiony pobrzaskiem w czoło — i oszlaki mchów żółtawych, to rdzawistego pianu stały się widoczne naraz. Wyszły też na jaw z uboczy naprzeciwległej zielonie przerozmaite, kształty cudaczne drzew, wykroty, i idąca pomroką ku górze nigdy nietknięta gąszcz omszałych świerków i jodeł.

Pobrzask rozednił las i pobudził życie przyczajone. Z dalekiej gęstwi leśnej

dobiegł łokot głuszca. W skraju trawiastym naprzeciw ozwał się cietrzew. Wreszcie i dzięcioł począł pracować. Z niedaleka słychać było jego miarowe kowanie. Zaczem i inne ptactwo leśne poczęło dawać znać o sobie.

Pod mgłą na jeziorze życie już wrzało... Kwaki, gęgania, turczenia rozszerzały się, jak jarmarczne fale i tworzyły dziwny koncert, tłumiony wełną mgły, która je czyściła, ii przebijały się przez nią jednym zespołem radości. Rozbudzone ptactwo wodne różnymi głosy chwaliło dzień, który przez mgłę czuło. Światło bowiem przeciekało przez gęste, zwełnione warstwy i mgła, rzednąc powoli, stawała się ze siwej liljowa. W onej liljowej rozpyli blisko brzegu ukazywały się barwne widma podlatującego ptactwa; nawet ich łyskliwe szyje i strojne hafty skrzydeł uznać było.

Wacław, siedząc nieruchomo na usłaniu gałęźnem między pniami, dolinę rozwidniałą mając u stóp, chłonął oczyma pełnemi i słuchem wyostrzonym rozbudzane po kolei życie. Słuchał uważnie tokowanie

głuszca, zajmował go odzew cietrzewia, pilnie
śledził robotę dzięcioła, gdy ten począł kuć na
pniu niedalekim, z zajęciem przyglądał się
jego czarnej jak sadza opierzy o czerwonym,
wywiniętym czepcu – lecz najwięcej uwagi
dawał na jeziorko, gdzie gwar przeróżnych
głosów dzwonił. I pomału, nieznacznie,
jako to światło prószące w dolinę, udziela-
ła się mu radość rozbudzonego stworzenia,
iż począł się czuć w zespole ze wszystkiem.
W piersi, dziwnem, nieznanem wzruszeniem
rozgranej, zrywały mu się jakoby radosne
ptaki, świt dzwoniące. Nie znał dotąd
takiej szczęśliwości. Przeto wdzięcznym był
wszystkiemu dookoła, pozdrawiał sercem każ-
dy odzew życia, rozbawionemi oczami śle-
dził podlatujące we mgle liljowej ptactwo
i duszę otwierał szczęśliwą naprzeciw
radości barw. Zapomniał całkiem o celu,
w jakim tu przybył. Czuł się w dolinie,
jak wszystko dookoła – w jednym rozświcie
radosnym.

Zapatrzonego we mgłę liljową uderzył
szelest z boku. Obrócił oczy, i serce mu
myśliwskie zadrżało... Na łąkę z tajgi

wybiegł rogacz. Stanął przed nim niedale-
ko, prawie na strzał. Wacław, gotując
strzelbę ostrożnie, przyglądał mu się. Wspa-
niały okaz, bezpiecznie w schronach tajgi
ojczystej wychowany. Jeszcze na rogach roz-
łożystych i na czerwonej gładkiej sierści
lśniła się rosa. Widać przedzierał się przez
gąszcz. Spróbował trawy od niechcenia,
uszczknął parę kwiatków, poczem podsko-
czył na miejscu i rozejrzał się wesoło.
Wacław począł mierzyć doń, kierując musz-
kę pod przednią łopatkę, gdzie pod mu-
skułem drgało serce. Miał pociągnąć za
odwód, gdy rogacz zwrócił ku niemu pięk-
ną głowę. Oczy jego patrzyły prosto w oczy
Wacława – tak jakoś bezobawnie, ufnie.
Wacław opuścił strzelbę na kolana. W tym
momencie bowiem przypominało mu się zda-
rzenie jedno, gdy polował z Osmanem na
kozy. Postrzelił kozła – i gdy przypadł ku
leżącemu na ziemi, zobaczył wyraźnie,
jak z dużego, łagodnego oka spłynęła łza
i spadła na liść... Jak perła – została dłu-
go na liściu. Nieraz to przydarzenie wy-
rzutem go nachodziło. Czemu znów teraz?

Sam zły był na się za to – jakby kiedyindziej powiedzieć – rozmiękczenie. Ujął strzelbę powtórnie, lecz znów ją opuścił. Kłóciło się w nim dwóch – wyraźnie dwóch ludzi.

– Zabij! Okazja się nie trafi...

– Poczekaj... Trzeba pomyśleć...

– Ujdzie!

– Zaraz... przypatrz się tylko...

I począł się przypatrywać rogaczowi, który, nic nie przeczuwając, baraszkował swobodnie na łące. Ślady jego lekkomyślne na siwym płaszczu rosy kreśliły ciemny ornament. W momencie pewnym stanął, nastawił ostre żłobki uszu na melodię rozdzwonionego życia na jeziorze, i oczy jego jakoby uśmiech rozszerzył. Świeciła się w nich radość wielka, beztroskie szczęście istnienia. Potrząsł swą dumną, uwieńczoną głową i znów w zachwycie spoglądał. Rogi jego zapłonęły w potężniejącem szybko świetle, jak ogniste latorośle. Po gładkiej, czerwonej sierści zbiegały złote połyski. Radość nadmierna nie dała mu chwili trwać w bezruchu. Podskoczył

z miejsca jako płomień i zawiódł swój lekki taniec. W owej chwili na łąkę wybiegł z tajgi drugi... W podskokach tanecznych przypadł ku niemu. Poczęli się swawolnie szermować rogami...

W sercu Wacława trwała jeszcze kłótnia.

— Strzel teraz. Obu położysz.

— Zaraz. Niech się im napatrzę.

— Na co czekasz?

— Piękne są...

W tym momencie padł w dolinę z po-za wzgórz tajgi pierwszy grot słońca... Równocześnie z kępy pobliskiej przestrzelił ku wodzie z krzykiem szary bekas — głos jego ostry, donośny, przeciął powietrze, jak świst cyrkularki. W odpowiedzi na to krzyk się na jeziorze podniósł. Rozgwar się wzmógł. Z poza wzgórz tajgi raz wraz groty padały ogniste — aż z niespodzianą szybkością sta-nęła na zębach lasu w krzyku płomieni lśniąca kula... Szał najwyższy ogarnął dolinę.

Wacław uczuł się olśnionym. Odsunął od siebie strzelbę — wstał — i wyciągnął ramio-na do słońca, jak skrzydła. Najwyższem uniesieniem serca radosnego dziękował

za łaskę świtu...

Naraz wpadło w doliny dalekie echo strzału... Krzyk grozy wzniósł się znad jeziora. Wacław widział przed sobą w zamgleniu światła przerażone oczy dwóch rogaczów, które przestrach na moment znieruchomił — poczem zabrały się i, oglądając się na boki z trwogą, łukami pomknęły w tajgę. Jeszcze rogi ich świecące z drzewiny niższej widać było.

Słońce już było wysoko, mgła się rozpłynęła i wsiąkła w błękit, gdy Wacław opuścił doliny. Idąc z powrotem do chaty Jana, czuł z dziwnie tkliwą radością narodzone w piersi nowe życie. Jak perła — błyszcząca na liściu przed oczyma serca jego łza, spadła z żalu za życiem z ciemnego oka umierającego kozła.

Władysław Orkan.

2 Świętochowski „Cześć pokrewna drożnej”
16 Orkan
8 Treter
4 Żuławski
6 Baranowski
1 Odrowa
4 „Pisarowa”
6 Antol.
2 Anaks.
4 Żeromski
10 Leblondy
3 Wolska

66

40
6

Władysław Orkan: Z poezyi.

Obz. Ciero X

Symfonia poranku.

Wstałem dziś bardzo rano,
Gdy ptaki mówią o świcie,
Aby, nim mgły nizinne wstaną,
Pochwalić życie...

To bowiem szczęściem darzy,
Co nam o szczęściu śpiewa,
I wtedy jeno drogi skarb,
Gdy się go dusza spodziewa.

I.

Zapłonione błękity,
Przez mrok złocące się struny,
Niebem zajęte gór szczyty –
Grają na cudny dzień!

Różowy pobrzask wstaje,
W złote rozpala się łuny –

A Tatr zostrzone kraje
Jak miecze pełne lśnień.

Rozkwitła zorza ranna,
Ogniem spłonęły niebiosy –
Dusza śpiewa: hosanna!
Raduje się jak ptak –

Z ziemi, darzonej złotem,
Zachwytne budzą się głosy –
Rajskim ptasząt świergotem
Dzwoni różany krzak.

Na świt! na świt! – Drga serce,
Wezbrane tętnią żywiczną;
W każdej żywej iskierce
Drży oczekiwań chłód –

Na świt! na świt! – Drga życie
Barw zestroją rozliczną,
A tam już na błękicie
Dziwny się sprawia cud...

Wystrzelają promienie

Z niewidzialnego ogniska –
Kośnie w okrzyk jaśnienie
Rozbiegłych wokrąg zórz –

Raz po raz dłoni niewidna
Groty żarzące wyciska,
Które z powały niebios
Sypią złocisty kurz;

Blask coraz bielszy wschodzi
Na zorze, złotem siejące –
Aże na lśniącej, płomienistej łodzi
Wypływa Słońce...

II.

Niechaj będzie pochwalona przedziwna krasa ziemi,
Cudownie wyjawiana dary słonecznymi.

Niechaj będzie pozdrowiona przeczysta ranna rosa,
Która przemienia łąki w kwieciste niebiosa.

Witajcie bratki moje! o wdzięczne motyle!
Jak przygasłe w pamięci, miłowane chwile.

Stokrótki zrumienione! Jaskry złotolice!
Skryte w zieleń, nietajne oczom tajemnice.

Najlichsze trawki polne! i wy nieostatnie –
Wszystko duszy radosnej siostrzane i bratnie.

Wszystko pojednoczone w uśmiechu urody,
Jednym rytmem pojęte w rajskie korowody...

III.

Niosą się maje puszyste,
W zwiewne wieńczone korony;
Chwieją się dzwonki czyste,
We wszystkie rozdzwonione strony;

O liljowych czołach
Pysznią się ząbry okolne,
Niepokalaną zaś bielą
Lśnią chryzantemy polne;

Bodziszki o różnym stroju,
Czarny, niebieski, różowy,
Z nad trawy, to tu, to tam
Przemienne ukazują głowy.

Suną te kwietne drużyny,
Te świetne, barwne orszaki
Krajem przez łany zbóż,
Przez miedze, łączki i mlaki;

Jakoby wszystko rozkwitłe
Na gody dążyło weselne -:
Tryskają co moment uśmiechy,
Wznoszą się wonie kadzielne.

Jako lichtarze nocy
Dymią się wonne storczyki,
Zgasiło bowiem już słońce
Ich zieleniałe ogniki.

Z przyczyn szarości kwiatu
W tłum pospolity zepchnięta,
Aby okazać swą moc:
Nad inne wonieje mięta.

Bezcennie unosi się z miedz
Przedziwna woń macierzanki,
Jak słodkie jakieś wspomnienie,
Jak myśl o włosach kochanki.

A oto staw wonności,
Dar tej porannej godziny:
Różowe w bezmiar pole
Kwitnącej koniczyny...

IV.

Wdzięcznym jest ogród ziemi, słońcu otworzony,
Ujęty morzem nieba między sine skłony.

Jeśli dusza z miłością w jego ścieżki wchodzi,
Wtórnie się pośród kwiecia na szczęśliwość rodzi.

Raj to jest, gdzie myśl Boża śni o swoim celu,
W bławacie utajona i w najlichszem zielu.

Cudnie śpiewają kwiaty, dziwnie mówią wrzosy—
Szczęśliwy, kto uczuciem pojmie one głosy.

Słodycz jest darem niebios. Słodka koniczyno,
Razem oto kwitniemy, za jedną przyczyną.

Światło jest w nas i życie — we wszystkiem taksamo.
Wieczność jest dniem światłości — a noc śmierci bramą...

V.

Niknie mgieł polnych gaza,
Unosząca się nad ziemią, jak śnienie –
Chłód ranny, strwożony słońca,
Pod leśne uchodzi cienie.

Gasną brylanty rosy,
Blask je po drodze wypija,
Gdy pozdrawiana światłem
Chwila się z chwilą wymija.

Dzień się szerzy na ziemi,
Powietrze żarność przenika –
Aliści nad krasą pól
Przedziwna wstaje muzyka...

Jakgdyby podmuch przelotny
Dzwonił o włóśnie promieni:
Rój muszek naobszerz gra
Jako udoła najcieniej.

Wtórują mszyce znikome
Temu orkiestry wzniesieniu

I dźwięczą brzęczki złote
Swój ton o szklanem brzmieniu.

Organnie prenoszą się pszczoły,
Basują wąsiate trzmiele –
Cała orkiestra zleciała
Na białe kwiatów wesele.

Rozswawolnił się obszar,
Wszystko, co kwitnie i rośnie,
W tan się muzyce podaje,
Słońcu, weselu, wiośnie.

Oto wysmukła centorya
Różowe kreśli zakola,
Obok niej mieczyk jak chłopiec
Dwornie jej służy przez pola;

Wyczki za ręce się wzięły
I w pląsach gromadnych się mienią,
Ostróżki zasię zosobna
Weselnym radują się brzmieniom;

Różnostrojne orliki
Jak drużby we wstęgach się niosą,

Lśniąco-gwiezdne rumianki
Uśmiech oddają niebiosom;

Trzęsą się białe kędziorki
Jak babki powyczesiane,
Skrzyp skrzypi, szelężnik szumi,
Burzany chwieją się pijane;

Całą kwiecistość przestrzeni
Rojęła radość grająca —
Wszystko w tanecznej rozbawie
Płynie naprzeciw Słońca...

VI.

Wesel się, duszo moja, pląsaj wraz ze wszystkiem,
Bądź porówni z muszkami, z promieniem i listkiem.

Zespól się światłem oczu z ogniem spadłej rosy,
A uczujesz rosnące w swem wnętrzu niebiosy.

I wysłuchasz z ócz kwiatów, płonących szczęśliwie,
Iże radością świat jest i wszystko, co żywie.

Myśl Boża się raduje w uśmiechu pogody,
Gdy wszystkoistne tańczy swoje życia gody.

Jakaż radość promienna, że nam oto dano
Czuć bóstwa uśmiech w sobie w to słoneczne rano.

Wesel się, duszo — niebo upadło w twą studnię —
Pij zachwyt, zanim przyjdzie znużone południe.

Władysław Orkan.

Pochwała życia.

Wstałem dziś bardzo rano,
Gdy ptaki gwarzą o świcie,
aby, nim głosy z nizin wstaną,
Pochwalić życie...

To bowiem szczęściem darzy,
Co nam o szczęściu śpiewa –
I wtedy tylko drogi skarb,
Gdy się go dusza spodziewa.

Zapłonione błękity,
Przez mrok złocące się struny,
Niebem zajęte gór szczyty –
Dzwonią na cudny dzień!

Różowy pobrzask wstaje,
W złote rozpala się łuny –
A Tatr zostrzone kraje,
Jak miecze, pełne lśnień!

Rozkwitła zorza ranna,
Ogniem spłonęły niebiosy –
Dusza śpiewa: hosanna!
Raduje się jak ptak –

Z ziemi, darzonej złotem,
Zachwytne budzą się głosy –
Rajskim ptasząt świergotem
Dzwoni różany krzak –

Blask coraz bielszy wschodzi
Na zorze, złotem siejące –
Aże na lśniącej, płomienistej łodzi
Wypływa Słońce...

Umarły moje pieśni.

Umarły moje pieśni,
Umarły przed wiekami –
Połknął je czas, jak woda,
Wieki pokryły je mgłami.

I oto, kiedy słońcu
Hymny radosne poczynam,
Coś mi ze stepów czasu gra –
Coś sobie przypominam...

Oj zadzwoniłbym srebrem dzwonu,
Jako ptaszkowie leśni,
Lecz już nie mogę zbaczyć tonu –
Umarły moje pieśni.

74

Łąki i kwiaty moje.

Popiołem powiał czas na łąki moje.
Już nie grają w słońcu tak radośnie,
Już nie zakwitają tak o wiośnie –
Łąki moje...

Przymrozem spalił czas kwiaty moje.
Przymrozem spalił młode pąki,
Popiołem z kwiatów mych powiał na łąki – –
Łąki i kwiaty moje...

L

Jesion.

Opalił mróz
Konary moje młode –
Zwiał liście wichr
I rzucił je na wodę –

Powiała wiosna ma
Na drogi gdzieś tułacze – –

Na wichrze jesion trwa
I konarami płacze.

Na grobie moich wiar.

Na grobie moich wiar kwiaty rosną -
Dziwne kwiaty trujące;
Trują się na nich myśli me, jak pszczoły wiosną
Obcy miód ssące.

Najcudowniejsze z moich marzeń...

Najcudowniejsze z moich marzeń
Ni najść, ni ująć mi się daje —
Odbicie w mgle pragnionych zdarzeń,
W bajkowe unoszonych kraje — —

Próżno wyciągam tęskne dłonie
Po to dalekie, moje, mgliste —
Równie w przestrzeni zimnej tonie,
Jak to, co rzeczywiste.

Zadumanemu nad wiecznością...

Zadumanemu nad wieczności mrokiem,
Pochylonemu nad otchłanią czarną,
Cóż ci się z życia wyda dość głębokiem,
Jaka roztocz nie marną?

4

Próżne twym oczom głębnym pokuszenie –
Igraszka barw na roztoczonej wstędze –
Zechcesz-li czytać swoje przeznaczenie
W tej małoważnej księdze?

Jak kamień leci myśl twoja w bezedna –
Ciśnięta raz, przez wieczność całą spada –
Czemuż więc trwoży się próżno myśl biedna,
Iż dno nie odpowiada?..

Otwórz się, moja mogiło...

Otwórz się, moja mogiło,
Pochłoń serce struchlałe --
Pełne radości życia ono biło,
Jak dzwon, na chwałę...

W pustce, w odludziu głuchem,
Gdzie cisza drży przelękłem,
Ono jedyne było żywym ruchem,
Ogniem i dźwiękiem...

Słuchiwał przechodzień-wiatr
Płomiennych jego zwierzeń -
Odbijały się od ściany Tatr
Echa uderzeń...

Zżarła je pustka swą siłą,
Rozbiła je o skałę --
Ach, kiedyś radości życia ono biło,
Jak dzwon, na chwałę...

G
